665

BARBARA KRAFFTÓWNA

o sobie i o teatrze

— Pani Basiu, znamy Pani życiorys teatralny, oglądamy Panią w teatrze i różnorodnych programach telewizyjnych. Czy zechciałaby Pani nam opowiedzieć coś o sobie, ale z czasów poprzedzających wejście Pani na scenę.

— Z tego, co pamiętam i z opowiadań mojej najbliższej rodziny, byłam tzw. piekielnym dzieckiem o upodobaniach teatralno - cyrkowych. Wyrażało się to w tym, że się ustawicznie przebierałam. Szafa matki była stale skotłowana, buty powykręcane. Nie wystarczały mi zabawy w pokoju. Urządzałam seanse na parapecie okna, naturalnie od ulicy, zakładając się z rówieśnikami, ile osób zatrzyma się i będzie oglądać przygotowane przeze mnie widowisko.

— W jakim to było wieku?

— Gdzieś od 8 do 12 lat — potem spoważniałam.

— Czy aktorstwo było Pani marzeniem?

— Nie, ale w domu przewidywano, że musi się to chyba skończyć teatrem. Miałam ponoć dziwny, jak na dziecko odbiór żartów. Oprócz gigantycznej, abstrakcyjnej dziecięcej wyobraźni, ja miałam jeszcze dodatkowo odpowiedź niemal na każdy żart. Najczęściej był to jakiś szatański pomysł.

— Przed wojną, względnie zaraz po okupacji, dziewczyna wychowywana była w znacznie większym rygorze niż dzisiaj. Co wobec tego myśleli Pani rodzice o aktorstwie? Przecież aktorka w pojęciu — może nie naszych matek, ale na pewno naszych babek — była osobą wyklętą...

— Niemalże wyklętą, a nie jak dzisiaj — artystką.

— Ale to były czasy jeszcze dawniejsze. Pokolenie moich rodziców, nie tylko uznawało teatr i aktorstwo, ale odnosiło się do niego z uwielbieniem. Rodzice moi byli w bliskim kontakcie ze sztuką. Matka grała wspaniale na skrzypcach, bardzo pięknie malowała. Starsza siostra skończyła tak jak i matka konserwatorium i po zdaniu matury poszła na scenę — wojna niestety przeszkodziła jej w graniu w normalnym istnieniu w teatrze. Dzięki temu byłam blisko tych spraw — włączona w nie od dziecka.

— Czy myślała Pani kiedyś o sławie aktorskiej?

— Nie myślałam ani o sławie, ani nie miałam pojęcia o trudach tego zawodu. Był to absolutny przypadek. W czasie okupacji aktorzy i pedagodzy teatralni zeszli do podziemia. Prowadzili nie tylko studia konspiracyjne, ale organizowali w domach spotkania, koncerty, nawet przedstawienia. W owym czasie Iwo Gall prowadził wraz ze swoją żoną takie konspiracyjne komplety. Chodziła tam moja siostra, a nie mając co zrobić z młodszą, zabierała mnie ze sobą.

— Pamięta Pani, gdzie odbywały się te komplety?

— Gallowie mieszkali na Tamce i tam się to wszystko odbywało. Po powstaniu Iwo Gall znalazł się w rodzinnym Krakowie i zaczął zbierać swoich uczniów. Studiowałam więc w Krakowie, a potem Iwo Gall z całą grupą świeżo upieczonych adeptów teatralnych wyjechał do Gdyni, gdzie założył pierwszy w dziejach Wybrzeża stały teatr. Na Wybrzeżu przeżyłam 3-letni okres gallowskiego teatru, następnie z Gallem pojechaliśmy do Łodzi. Po roku przeniosłam się do Wrocławia na 3 lata. Potem do Warszawy: Teatr Młodej Warszawy, Klasyczny, Komedia, 7 sezonów w Teatrze Dramatycznym, 5 w Teatrze Narodowym, rok w Syrenie no i od 3 lat jestem w Teatrze Współczesnym.

— Czy nauka w studio Galla trwała tak długo, jak dzisiaj w szkole teatralnej?

— Nie, było to zaraz po wojnie. Wykłady prowadzono non stop, od rana do wieczora i trwały one niepełne dwa lata. Po dyplomie aktor odbywał 3-letni okres aspirantury i rok kandydatury. Dopiero po 4-letnim przyuczaniu do zawodu na scenie, stawał się pełnowartościowym aktorem.

— Uważa Pani, że była to lepsza forma kształcenia młodych aktorów?

— Tak, bardzo słuszna. Okres 3-letniej aspirantury pozwalał młodemu adeptowi sztuki rozwinąć się i udoskonalić. Dzisiaj, kiedy uczeń po 4 latach przychodzi na scenę, chociaż ma w kieszeni dyplom magistra sztuki, jest w zasadzie surowym materiałem.

— Czy oznacza to, że dla aktora ważniejsza jest praktyka od teorii?

— Tak, te lata aspirantury i kandydatury rozwijały w aktorze bardzo zdrowe ambicje, trzymały w reżimie moralnym i psychicznym — zawodowym. W programach teatralnych i na afiszach zaznaczano wówczas przy nazwisku aktora, aspirant lub kandydat. Natomiast nazwiska osób, które uzyskały prawo grania w teatrze, ale nie ukończyły studiów oznaczano trzema gwiazdkami. Widz wtedy orientował się, jaki materiał aktorski prezentuje mu teatr.

— Jak wygląda Pani dzień pracy?

— Pracuję cały dzień, wieczór i bardzo często w nocy. Jestem wyssana jak wszyscy, ratuję się po prostu techniką.

— A jak Pani odpoczywa?

— Prawdziwy odpoczynek kojarzy mi się jedynie z okresem urlopu. Ale musiałam się nauczyć odpoczywać w ciągu dnia. Rewelacyjną formą relaksu w ciągu 15 minut są dla mnie ćwiczenia jogi lub stan, który nazwałabym drzemką, chociaż nie jest to zawsze sen.

— Gdyby ktoś ofiarował Pani rok wolny od grania w teatrze i jednocześnie zabezpieczył finansowo, jak wykorzystałaby Pani ten czas?

— musiałabym go sobie bardzo precyzyjnie zorganizować. Przy tym stanie zmęczenia, po wieloletnim drylu roboczym, duża ilość wolnego czasu niezorganizowanego rozbiła by mnie psychicznie i fizycznie.

— W którym gatunku aktorstwa czuje się Pani najlepiej?

— Nie umiem określić. Podejrzewam, że gdybym pracowała przez wiele lat tylko w dramacie, nie wytrzymałabym napięcia i musiałabym zmienić emploi.

— A co z piosenką?

— Jest to dla mnie jakiś punkt wyżycia — lubię piosenkę.

— Nagrała Pani własną płytę?

— Malusieńką, takie dwie pioseneczki, nie mówiąc o płytach z „Kabaretu Starszych Panów". W tej chwili została nagrana płyta z kabaretu „Pod Egidą", na której są także piosenki wykonywane przeze mnie. Trudno mi jednak powiedzieć, kiedy się ukaże.

— Czy miewa Pani uczucie tremy?

— Tak, ale charakterystyczne, że największą tremę mam na estradzie, przy formach muzycznych czyli właśnie przy piosence.

— Czy ma Pani jakieś teatralne uwielbienie?

— Ukochaną moją aktorką jest Audrey Hepburn, która mnie fascynuje wdziękiem, propozycjami aktorskimi. Porywa mniej jej osobowość, którą akceptuję bez zastrzeżeń. Jest to coś więcej niż talent.

— Jak układa się Pani współpraca z filmem?

— Musiałam zrezygnować z bardzo interesującej propozycji, jaką miał dla mnie Jerzy Antczak, reżyser trzyczęściowego serialu filmowego opartego na powieści Marii Dąbrowskiej „Noce i Dnie". Nie potrafię przez półtora roku kreować jednej i tej samej postaci.

— Czy ma Pani jakieś marzenia?

— Chciałabym, by ludzie byli dla siebie lepsi, serdeczniejsi, chwilami wydaje mi się, że człowiek znienawidził człowieka. Bywamy często lepsi dla zwierząt niż dla siebie nawzajem. A więc życzę wszystkim więcej miłości.

Rozmawiała:
KAZIMIERA KIJOWSKA